



DAR ANOMALII

PAWEŁ ZBROSZCZYK

== Księga I ==

DAR ANOMALII

PAWEŁ ZBROSZCZYK

== Księga I ==



YODGORLIK

TAKLIF

BOSHQALAR

BOLGA

TOGLI

KINLIK

DENGIZ

PUSTKOWIA

YER OSTI

QUIZIL
MALIKA

WYSPA
NEUTRALNA

MORZE
WSCHODNIE

LANGAR

BEZKRESNE WODY

Ban Kodur

Khon Runar

Kargarum

Khon Farum

Vexmire

Marbadur

Reckathan

Albenurg

Ogiz

Buyuk Tog

Meros

Ristarlik

Chorraha

Almashish

Oltar

Bozor

Chekka

Thag Daral

Chegara

Umid

Ulanish

Ostatni
magazyn

Sharshara

Plaven

Shamol

Wynder

Janubiyi

Copyright © by Paweł Zbroszczyk, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody wydawcy jest zabronione.

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś
Korekta: Paulina Zyszcza, Anna Hat – Zyszcza.pl
Skład DTP: Andrzej Zyszcza – Zyszcza.pl
Ilustracja na okładce: Steve Stone
Projekt okładki: Ilona Gostyńska

Wydawca: Wydawnictwo elfickie
Kup książkę: www.elfickie.pl
Zamówienia hurtowe: zamowienia@elfickie.pl
Dystrybutorzy:

Platon Sp. z o.o. – <https://platon.com.pl>
Ateneum M. Kogut, A. Zegiel Spółka Komandytowa – <https://www.ateneum.net.pl>
OSDW Azymut Sp. z o.o. – <https://www.azymut.pl>

Druk i oprawa: OSDW Azymut Sp. z o.o., Łódź, ul. Senatorska 31

Wydanie I

ISBN 978-83-967187-3-0

Znajdziesz mnie:

 www.facebook.com/frazyfantasy

 www.instagram.com/frazyfantasy

 www.tiktok.com/@frazyfantasy

 www.elfickie.pl

 <https://lubimyczytac.pl/autor/245233/pawel-zbroszczyk>

Tobie, Czytelniku

CZĘŚĆ I

SAMOTNOŚĆ

Rozdział 1

Anomalia

Parkan

Przypomniał sobie dzień, w którym wyparowały jeziora. Początkowo myślano, że woda zniknęła tylko z tego położonego najbliżej, lecz gdy dotarły wieści o kolejnych pustych akwenach obleczonych kobiercem martwych ryb, jego klan ogarnęła panika. Następny dzień przyniósł większy szok – zniekształcenia. Odkryto miejsca, w których dźwięk wypowiedzanych słów przeobrażał się w niezrozumiały brzęk, węzowy grzechot, syk, a czasem zanikał zupełnie, jakby pożarty przez żywiącego się głosami potwora. Wysłannicy pozostałych klanów potwierdzili, że cokolwiek się dzieje, dotyczy wszystkich wysp. Znany świat nie wiedzieć czemu pękał, kalecząc myśli mieszkańców rysami chaosu i przerażenia.

Leba poczuł przyjemną falę ciepła i napiął potężne ramiona. Patrzył na promień słońca, który przesuwiał się po skrzydłach i barwił białe pióra dziesiątkami odcieni różu oraz fioletu. W okolicy bazaltowego nawisu nie było nikogo. Choć od katastrofy minęły trzy dni, większość Parkan wciąż nie opuszczała domów.

Jednia, ręka bogów, będzie musiała coś postanowić. Wtedy wyjdą – pomyślał.

Rozejrzał się. Wzruszył ramionami. Jeśli będzie miał kłopoty, trudno. Przyleciał tu dla anomalii. Święte symbole wiary, które czasami pojawiały się blisko morza, dawały poczucie stałości i sensu. Dzięki nim pamiętał, że bez względu na wszystko najważniejsza jest wędrówka. Kiedyś dostąpi zaszczytu podróży do innego świata.

Anomalia rozbłysła nieopodal, rzucając cień na pionową skałę. Brzęcząca kula migotała złowrogo przy każdym majestatycznym obrocie. Jej powierzchnię spowiła mieszanina nieznanego pochodzenia gazów i płynów, które kłębiły się zwiewnie. We wnętrzu kuli dostrzegł pomarańczowe kryształki. Być może to one dzwoniły, trącając się nawzajem.

Podczas gdy większość rówieśników stroniła od anomalii, Leba lubił obserwować głębię barw oraz drobne iskry przy krawędziach zjawiska.

Czarna, rzadka – pomyślał, chwytając się pazurami skraju skały. Wiedział, że dopóki nie ukończy prób, powinien zachować bezpieczną odległość od bramy. Czy kiedykolwiek popłynie na wyspę z wieżą?

Serce Leby zadudniło szybszym rytmem. Pomiędzy mieszającymi się płynami pierwszy raz w życiu zobaczył prześwit, a w nim...

To niemożliwe – pomyślał, czując paraliżujący strach.

Zamarł i zmrużył oczy. W środku kuli dostrzegł postać bez skrzydeł. Brnęła przez biały puch, który prószył z każdej strony. Nieopierzony mężczyzna trzymał źródło światła i krzyczał. Tak, to musiał być krzyk. I te dziwne kolorowe tkaniny, w które był zawinięty...

Postać w anomalii rozejrzała się nerwowo.

– Co to jest? – syknął Leba.

Pchnięty instynktem skoczył z nawisu i zanurkował w przepaść, marszcząc powiekiem powietrza błyskającą kulę. Musi powiedzieć Uległym.

Napiął mięśnie, by lecieć szybciej.

Rozdział 2

Zamieć

Estepia

– Umrę tu, to koniec – wycharczał Bren, próbując wstać ze zwału śniegu.

Mroźny podmuch szarpnął nim, kradnąc przerażającym wyciem resztki odwagi. Bren odchylił głowę, by złapać oddech i sprawdzić, czy upuszczona lampa oliwna nie zgąsła. Na szczęście leżała na miejscu, dając nikły promień światła, a tym samym – nadziei. Zebrał siły, by ponownie wstać i krzyknąć. Zmierzchało, a noc w lodowych okowach to śmierć podczas snu.

Jakiego snu? Co za bzdura! – pomyślał. A niby jak umiera się z zimna? Przynajmniej nie będę cierpieł.

Strzepnął z twarzy warstwę śniegu i potrząsnął głową, chcąc pozbyć się złych myśli.

Czy to koniec?

Nagle dostrzegł w oddali sanie.

To ten zakuty łeb!

Splunął, obserwując, jak ślina powoli przymarza do śnieżnej hałdy. Uspokoił oddech i wstał, podnosząc lampę.

– Dray! – wrzasnął, a wiatr porwał krzyk i rozrzucił po okolicznych zaspach. – Dray! – Wymachiwał w kierunku wynajętego tragarza.

Zlustrował wszystkie strony, czując, że jest obserwowany. Czyżby widział załamujące się światło? Zmrużył oczy, lecz nie dostrzegł niczego podejrzanego. Dobiegło go paniczne rżenie koni, głośne i pełne ostrzeżenia.

Jeśli są konie, musi być jeździec lub choćby trakt – pomyślał, po czym ruszył w tym kierunku.

Skupianie uwagi na przeżyciu dodawało otuchy, jak wiele razy wcześniej. Nie posiadał żadnego talentu, zawodu ani wykształcenia. Nie miał zamożnych rodziców ani wpływowych znajomych. Przez całe swoje nędzne życie ślizgał się, podpierając szczęściem i sprytem. Wykorzystywał innych i nigdy, przenigdy się nie poddawał. Zupełnie jak teraz.

Brodził po kolana w śniegu, unosił wysoko stopy, by po chwili wciskać je z uporem w głębokie zasy. Pluł śnieżnymi drobinami i odgarniał lodowe płyty z czoła. Kiedy dotarł do sosnowego lasu na skraju jeziora, niebo obsypały pierwsze gwiazdy. Poczuł ulgę, gdyż między drzewami nie wiało aż tak bardzo. Wicher strącał szyszki, lecz nie mroził twarzy. Zrobiło się ciszej niż na jeziorze, gdzie świst przeradzał się w jednostajne buczenie.

Po chwili przedzierania się przez krzaki jeżyn odkrył końskie szczątki. Zjedzone przez wilki. Na to przynajmniej wskazywały ślady.

– O tym też nie masz pojęcia, Bren – powiedział, rozglądając się w poszukiwaniu jakichkolwiek przedmiotów.

Nie znalazł nic godnego uwagi, więc ruszył dalej. Trop doprowadził go do niewielkiego traktu. Skrajnie wyczerpany, podparty resztką nadziei, za kolejnym zakrętem dostrzegł strużkę dymu,

która toczyła nierówną walkę z burzą. Niedługo później ujrzał piętrowy budynek połączony z drugim, mogącym pełnić funkcję stajni. Kiedy zobaczył masywne drzwi oraz tablicę z napisem: „Karczma pod Tłustym Sumem”, klęknął z dogasającą latarnią w dłoni. Zabezpieczone deskami okna i buchający z komina dym utwierdzały go w przekonaniu, że wewnątrz są goście. I strawa.

* * *

Po kilkunastu uderzeniach w dębowe drzwi odsłoniło się zakratowane okienko. Bren ujrzał obserwujące go oko, fragment kobiecej twarzy i żółte zęby.

– Ktoś ty? – usłyszał głos opleciony zapachem czosnku.

– Noclegu szukam, miej litość. Podróżuję do Plaven.

Niewiasta po drugiej stronie milczała przez chwilę, po czym odparła sucho:

– Pięćdziesiąt srebrników za noc, ostatnie miejsce w stajni. W cenie posiłki i wino. Zgadza się na to?

– Pół złocisza? Toż to niedorzeczne!

Nieznajoma zatrasnęła okienko, zrzucając warstwę śnieżnego puchu z okutych drzwi.

– Czekaj! – krzyknął popychany ścianą lodowego wiatru. – Niech będzie.

Wiedział, że drzwi nie drgną, dopóki nie zapłaci, dlatego kucnął i rozpruł but. Był pewien, że kiedyś to nastąpi, ale nie przypuszczał, że tak szybko. Kiedy wyciągnął ostatnią złotą monetę i rzucił na tłustą dłoń, drzwi się przesunęły, a chłopak wskoczył do środka. Oparty o ścianę poczuł, jak wstążki ciepłego powietrza gładzą twarz, wlatują do mokrych rękawów i nogawek. Czuł je na karku i plecach. Stał, rozczapierzając palce, które – wciąż skostniałe – nie poddawały się wyższej temperaturze.

Właścicielka karczmy wręczyła mu resztę, po czym dała znak, by iść za nią. Owinięta w lepiący się od wina szary fartuch szurała butami i sapała, przytrzymując ogromny brzuch. Z cienia korytarza wyłonił się ubrany na czarno młody chłopak. Uzbrojony w długi miecz przyglądał się z napięciem nowo przybyłemu.

– Niech nie próbuje niczego głupiego, bo zna się na rzeczy – powiedziała kobieta. – I nie gada do niego, języka nie ma.

Bren spojrzał na niewiele młodszego od siebie chłopaka. Krępy osiłek nie mógł mieć więcej niż dziewiętnaście lat. Szedł z tyłu i przecierał spocone czoło barwną chustą. Był blady i roztrzęsiony.

Jest chory? – zastanawiał się, widząc, że dłonie ochroniarza drżą.

Kiedy ich spojrzenia się spotkały, w oczach spoconego mężczyzny dostrzegł lęk.

– Jeśli pojawi się nowy gość – zaskrzeczała karczmarka – podniosę ceny i ten zostanie, co zapłaci. Pierwszeństwo dla tych, co wewnątrz. Tera komplet, ale codziennie nowi przybywają, więc uprzedzam.

Zatrzymała się, dostrzegłszy zaskoczony wzrok Brena. Miała tłuste, zniszczone włosy, drobne oczy i zaczerwienione poliki. Jej palec wskazywał zabite deskami okno, za którym szalała lodowa wichura.

– Dla jednych to zagrożenie, dla innych interes – powiedziała, zbliżając twarz do nowego gościa.

Prócz intensywnej woni czosnku Bren wyczuł smród przetrawionego imbiru i cebuli. Kobieta się nie odsuwała. Patrzyła zachłannie na zapartego o ścianę wystraszonego chłopaka niczym głodny pies na soczystą polędwicę.

– Gdybyś chciał – wyszeptła i oparła dłonie o ścianę po bokach Brena – moglibyśmy omówić wysokość opłaty w moim pokoju. Tacy jak ty... – Przysunęła usta jeszcze bliżej.

Wtem wszystkie lampy w korytarzu zgasły. Nastąpiła ciemność. Bren usłyszał jęk ochroniarza, który dyszał i mamrotał coś niezrozumiale.

– Na wszystkie krosty na dupie i więcej! – krzyknęła gospodyni. – Ki czort, ki demon, tfu!

Odsunęła się, sapiąc, i odeszła kilka kroków, wodząc palcami po ścianie. Bren usłyszał trzask krzemienia i ujrzał iskry. Po chwili najbliższa z lamp rozbłysła ciepłym światłem. Kobieta opadła na pięty i przyjrzała się płomieniowi.

– Cugu ni ma, a znów zgasły – rzekła, po czym maznęła palcem metalową podstawę. – I oszronione, na Sempenę. Ki czort?

Odwróciła się w kierunku Brena.

– Idzie za mną, pokażę, gdzie będzie spał, a gdzie jadł.

* * *

Pierwszym pomieszczeniem była stajnia. Pięć przywiązanych koni rżało, podjadając zawartość drewnianych paśników. Tuż obok, za solidnym przepierzeniem, usypano imponującą górę siana, na której leżały dwa sienniki. Przy pierwszym z nich przeszukiwał juki barczysty mężczyzna. Odziany był w tradycyjny strój górnika: wysokie buty, skórzaną ćwiekowaną kurtkę oraz szeroki pas z przytroczonym kilofem.

Nieznajomy krzyknął radośnie, unosząc dłoń z kośćmi do gry.

– Już myślałem, że zgubiłem je w tej nawałnicy.

– Tu będzie spał. – Gospodyni wskazała Brenowi wolną część siana.

Górnik zawiązał worek i wsunął kości do kieszeni spodni. Przeciągnął się, po czym wyszedł z pomieszczenia, pogwizdując.

– Śpią tu z bratem. Obaj to spokojne chłopcy, nie będą wadzić – wyjaśniła.

Bren nie odrywał wzroku od miękkiego siana, doceniając wszechobecne ciepło. Tak niewiele brakowało, a zamarzyłby w tej przeklętej zamieci. Pobiegł myślami do Draya.

Idę o zakład, że nie dał rady. Muszę odnaleźć sanie i zabrać towar, zanim zrobi to ktoś inny.

– A co tak stoi? – warknęła karczmarka. – Nie ma nic do rozpakowania, to idzie do izby.

W większym i lepiej ogrzonym pomieszczeniu dało się wyczuć aromat pieczonej szynki oraz ostry zapach octu. Wysokie na czterech ludzi, podparte kamiennymi kolumnami, z centralną częścią w postaci paleniska zwracało uwagę półokrągłym stołem zastawionym kufkami i mięsiwem. Stojąca tam kobieta przerwała krojenie sarniego udźca i uśmiechnęła się nieśmiało.

– Tu będzie jadł, zajmie miejsce – powiedziała właścicielka.

Bren przebiegł wzrokiem po sali. Wszystkie stoły były zajęte. Przy najbliższym rozpoznał sąsiada ze stajni. Stał z kubkiem w dłoni i potrząsał nim, wsłuchany w stukot wirujących kości. Obok siedział podobnie odziany mężczyzna z ciemną brodą. Ryczał tubalnie, machając palcem w stronę kompana, i trząsał blatem, rozsypując brzęczące miedziaki.

Kolejny stolik, którego połamane nogi zastępowała drewniana skrzynia, zajmował starzec. Dłubał palcami w tłustym pieczonym kurczaku i wpychał do gardła spore kawałki, popijając obficie wodą. Za każdym razem, gdy połknął kęs, oblizywał palce i ponownie wbijał w rumiane mięso.

Przy przeciwległej ścianie Bren dostrzegł większy stół i dwóch mężczyzn. Jeden, wyglądający na kupca, odziany był w czerwony, bogato zdobiony kubrak. Drugi nosił strój myśliwski.

– Nie ma w księgach spisanej takiej zimy. Nocą godzinę wytrzymasz. Za dnia sześć w dobrym okryciu – mówił kupiec. – Jedynie dach nad głową ratunkiem.

W rogu pomieszczenia siedział młody mężczyzna, który wskazywał wolne miejsce obok. Bren uśmiechnął się, po czym ruszył w tamtym kierunku.

– Siadaj. Jestem Triod – powiedział nieznajomy, podając mu szczupłą dłoń.

– Bren. Dziękuję za zaproszenie – odparł i odsunął się, robiąc miejsce dla kobiety z tacą.

Po chwili patrzył zachłannie na stojący przed nim talerz pełen parującego mięsa. Zanurzył zęby w sarninie, która stanowiła popularną potrawę w najeżonym lasami Kindik. Nie przeszkadzało mu, że była sucha i żyłasta. Ciepła strawa i dach nad głową to zdecydowanie lepsza opcja niż śmierć w okowach lodu.

Triod obserwował go z kuflem w dłoni.

– Na zewnątrz wciąż taka zamieć? – spytał, zerkając w stronę okna.

– Okrutna – odparł Bren. – Bogowie nade mną czuwali, kierując mnie do tej karczmy.

Krótko ostrzyżony chłopak uśmiechnął się tajemniczo.

– Jestem ciekaw, czy ryby oddychają pod warstwą lodu – powiedział i odstawił pusty kufel.

– Ryby? Skoro wiosną da się je łowić, to zimę przeżyć potrafią.

Towarzysz skrzywił się, po czym machnął do barmanki. Podeszła, szorując długą suknią po posadzce. Zarzuciła ciemnymi włosami i poprawiła chustę na czole. Szerokie brwi i duży nos mogły wskazywać na to, że pochodzi z Langaru. Piracki kontynent nie cieszył się dobrą sławą, słynął za to z nietypowej urody zamieszkujących go kobiet. Bren patrzył, jak barmanka nachyla się nad sąsiadem. Poczuł woń kwiatów zmieszaną z zapachem tartych przypraw.

– Dotrzymasz mi towarzystwa w pokoju, zamorski skarbie? – spytał Triod, tracąc zainteresowanie nowo poznanym kompanem.

Spojrzała na niego i westchnęła.

– Jedyńm skarbem, który dziś rozpakujesz, będą własne portki.

Triod wstał, energicznie odsuwając stół, i odszedł bez słowa w stronę schodów. Kobieta w chuście zabrała się do przecierania

blatu. Wgłębienia na policzkach i figlarny uśmiech potwierdzały, że świetnie się bawi.

– Kilka chwil temu czułem się podobnie jak ty – rzucił Bren ze śmiechem.

Podążyła za jego wzrokiem, w kierunku szwendającej się przy palenisku właścicielki przybytku.

– Hinda ma słabość do takich rudzielców jak ty – odparła. – Tak naprawdę to dobra, choć pogubiona kobieta. Wszyscy myślą, że jest chciwa, a prawda jest inna.

Nachyliła się, a Bren jeszcze wyraźniej poczuł kwiatową woń perfum, którymi musiała się spryskać.

– Kilka tygodni temu jej syn obudził się bez języka. Ona robi wszystko, by zebrać odpowiednią kwotę na opłacenie kapłana. Choć nie są tani, ponoć potrafią leczyć takie rzeczy.

– Ten ochroniarz to jej syn? Stracił język we śnie?

– Odpowiedź brzmi: dwa razy tak – wyszeptwała, przecierając stolik bliżej Brena. – Nie draż, nie wnikać. Ona tego nie lubi.

Kiedy odchodziła, kupiec wstał i również opuścił salę, zostawiając myśliwego. Nieznajomy poprawił kołnierz z górskich lisów, po czym zagadnął Brena:

– Z daleka przybywasz?

– Z Javdaru – odparł chłopak.

– To jeszcze za Shamol?

– Pięć staj na wschód.

Myśliwy pokiwał ze zrozumieniem głową, po czym spojrzał w stronę zabezpieczonego workami okna. Wzrok Brena prześlizgnął się po obwiązanych bandażem, obficie krwawiącym boku mężczyzny.

Nie moja sprawa – pomyślał. Czas na sen. Oby jutro Pluron zestał już słońce.

Zaraz po nim do stajni przyczłapali podpici górnicy. Zajęli pościelone miejsca i błyskawicznie usnęli, pochrapując raz po raz.

Bren opadł na siennik i wyciągnął długie, patykowate nogi. Poprawił zaczesane w górę rude pukle odstające od wygolonych boków głowy i przyjrzał się swojej zapadniętej klatce piersiowej. Przyglądał młodzieńczy wąsik i podłożył dłonie pod głowę, jak miał w zwyczaju, gdy zasypiał. Pomyślał o barmance. Wyobraził sobie, że dziewczyna zgadza się być jego skarbem. Zamknął oczy, próbując odtworzyć kwiatowy zapach. Po chwili oczami wyobraźni ujrzał twarz ochroniarza.

Jak można stracić język we śnie? – pomyślał, zasypiając.

* * *

Obudziło go rzenie głodnych koni. Przeciągnął się, poczuł na policzku zimno metalu. Otworzył oczy i ujrzał leżącą obok nieznaną mu broń przypominającą sztylet. Nietypowy oręż miał aż trzy pokryte krwią ostrza. Bogato zdobiona rękojeść zakończona połyskującym, zielonym klejnotem nie mogła pochodzić z Estepii.

Rozejrzał się zaskoczony. Promienie mroźnego poranka przecinały ciemność, wpadając do pomieszczenia przez szpary w drewnianych ścianach. Okryty płaszczem górnik chrapał w najlepsze, wydychając drobinki siana. Bren wstał i podszedł do drugiej osoby. Górnik leżał na wznak z otwartymi ustami. Nie oddychał. Wypełnione skrzepniętą krwią trzy dziury w tunice wskazywały na to, że biedak nie żył od co najmniej kilku godzin.

Ktoś chce mnie zrobić – pomyślał, czując, jak lęk paraliżuje mięśnie, a trzymany w dłoni oręż parzy.

Ruszył w stronę drzwi, wsłuchując się w szelest siana. Kiedy dotarł na korytarz prowadzący do drzwi wyjściowych, przyspieszył. Podbiegł do klamki. Szarpnął. Zamknięte. Kolejne szarpnięcie, uderzenie barkiem. Nic z tego. Oparł czoło o chłodne deski, zastanawiając się, co robić.

Niedobrze. Jest bardzo źle. Bardzo.

Usłyszał kroki i stłumione rzenie koni. Wyczekał moment, przenikając wzrokiem szarość korytarza. Nic. Cisza.

Rozejrzał się w poszukiwaniu kryjówki dla broni. Górna belka stropowa przecinała podtrzymujące dach krokwie. Podskoczył i umieścił sztylet na zakurzonej poprzecznej podporze. Po chwili wrócił na swoje posłanie.

To jedyne wyjście.

Westchnął.

– Pomocy! On nie żyje! – krzyknął, budząc śpiącego obok górnika.

Rozdział 3

Ręka boga

Parkan

Eon znał wyraz twarzy przyjaciela. Nieobecne spojrzenie i zaciśnięte szczęki oznaczały wściekłość. Sięgające końca szyi pióra nastroszyły się, zachodząc na podbródek.

Leba siadł na przybrzeżnym piasku i oparł się o konar zwalonego drzewa.

– Cholerni Oddani! Doprowadzają mnie do szaleństwa! – Rzucił kamieniem w zacumowaną łódź. – Naprawdę widziałem to coś. Nie miało skrzydeł, ale twarz... była taka jak moja i twoja, Eon. Mam nadzieję, że choć ty mi wierzysz.

– Dlaczego na lekcjach wiary nie ma o tym ani słowa? – spytał przyjaciel.

Leba nie znał odpowiedzi. Uczono ich o zaślubinach krwi, wybrańcach płynących na Wyspę Prób. Pamiętał lekcje na temat rywalizacji i nagrody dla zwycięzców, lecz nikt nigdy nie zająknął się o istocie w anomalii.

Westchnął i pomyślał o nagrodzie, która czekała na wyspie. Cel parkańskiego istnienia. Wejście do anomalii. Podróż i możliwość

niesienia wsparcia innym światom. Jak długo będzie musiał udowodniać, że jest już gotowy?

Spojrzał na przyjaciela, który gapił się na zachód słońc. Śledził, jak zanurzają się w oceanie i barwią fale krwawymi promieniami. Wiele razy przychodzili tu, by pomilczeć i nacieszyć oczy cudownym widokiem. Zatoka pożerała linię brzegową, opierała się lewym ramieniem o podnóże gór i formowała cypel wilgotnego piachu po prawej. Połączone pofałdowanymi spadkami górskie szczyty okraszone były poziomymi wrębami, śladami muśnięć porywistego wiatru, który każdego roku żłobił nowe niecki.

– Jest piękna – powiedział Eon. – Zwłaszcza wieczorem.

Leba zmrugał oczy i również zerknął na ocean. Horyzont przecinał majaczący kształt wyspy z wysoką wieżą. Nawet przy doskonałej pogodzie nie dało się dostrzec wierzchołka budowli, który ginął w chmurach.

– Myślisz, że zaślubiny się odbędą? – spytał Eon.

– Słyszałeś słowa Jedni. Mamy żyć jak dawniej.

– Już za trzy lata będziesz mógł spróbować – wyszeptał, zoczywszy zaciśnięte pięści kompana.

– Gównu! – Leba wstał i rozpostarł skrzydła. Trzepnął nimi, wzbijając w powietrze pomarańczowe pyłki limbarji. Gwałtowny podmuch rozrucił długie blond włosy, zakrywając rozsierdzoną twarz. Był większy od rówieśników. Miał umięśniony, opierzony tors, szerokie ramiona i wydatną, kwadratową zuchwę. Stale ciekawe świata brązowe oczy patrzyły w dal, obserwując kontury Wyspy Prób.

– Chcesz go pomścić. O to chodzi, prawda? – zagadnął Eon.

Leba opuścił głowę i zaciśnął wargi. Czuł, że zaraz wybuchnie i doprowadzi do bójki, jak wtedy, w wąwozie.

– Śmierć Niaka nie ma nic do tego.

Przypomniawszy sobie dzień, w którym dowiedział się, że jego brat zginął podczas jednej z prób. Pamiętał, że stał wtedy w wodzie i sprawdzał, co złapało się w sieć. Spojrzał na koniec zatoki, gdzie cypel lądu obmywały rozszalałe fale. To tam ujrzał łódź wracającą ze zhańbionymi. To oni opowiedzieli o Niaku...

– Porozmawiam z Jednią – rzekł z przekonaniem.

– Leba...

– Oddani mi nie uwierzyli! Zresztą oni nic nie mogą, ale Jednia... Jednia to co innego.

Eon wstał i spojrzał w zamyślane oblicze przyjaciela.

– Nie przedrzesz się przez strażników. Pilnują jej dzień i noc.

Leba chwycił towarzysza za ramiona i nim potrząsnął.

– Dlatego będę potrzebował twojej pomocy.

* * *

Ponieważ najkrótsza droga do drzewa Jedni prowadziła przez wioskę, odczekali kilka godzin, aż mieszkańcy usną. Noc im sprzyjała. Pojawienie się na moczarach za dnia nie uszłoby uwadze zbieraczek psorników, których pola otaczały zakazane bagna w centralnej części wyspy. Spiętrzone chmury przysłaniające światło księżyca pozwalały na przemknięcie niezauważonym. Pomimo wyjątkowej ciemności lecieli wysoko. Kto wie, czy zabłąkana dusza nie złowi wzrokiem dwóch mknących cieni. Nie powinno ich tu być o tej porze. Jednia złagodziła zakaz opuszczania wioski, lecz nie dotyczyło to godzin nocnych.

Na szczęście większość mieszkańców nie oddalała się od domów, wybierając dobrą strawę i kubek trzeźwiącej mięty. Panika wciąż trzymała Parkan w swych szpiczastych łapach. Wyschnięcie jezior oznaczało brak słodkiej wody. Co prawda ruszyły prace nad uruchomieniem machin odsalających wodę oceaniczną, lecz

nikt nie miał pewności, czy wystarczą, by napoić całą populację, a zapasy... cóż, kurczyły się w zastraszającym tempie. Problemy z dźwiękiem przerażały głównie starszych. Parkańskie dzieci wykorzystywały dziwne zjawisko do zabaw i prześcigania się w odkrywaniu nowych terenów ciszy. Dorośli zaś robili wszystko, by unikać odmienionych miejsc, i wychodzili z domów wyłącznie do pracy.

Leba dostrzegł dach strzelistej świątyni i płonące pochodnie rozświetlające rynek. Widział skupisko drzew cytrusowych oraz plac przeładunkowy, na którym stały wozy przygotowane do przewiezienia wędzonych ryb. Klan Yrga słynął z najlepszych rybaków. To tu szkolili się mistrzowie sieci, wybitni poławiacze pereł i nurkowie, dla których ocean był drugim domem. Wędzone na czarnym drewnie ryby Yrga bardzo szybko stały się rarytasem w całym świecie Parkan. Ponieważ nie używano waluty i każdy z klanów wyspecjalizował się w innej dziedzinie, społeczności wspierały się wymianą odzieży, warzyw, mięsa czy biżuterii.

Kiedy minęli ostatnie zabudowania, skręcili na zachód. Leba planował okrążyć rozstaje, na których często stacjonował oddział patrolujący okoliczne tereny. Gdyby nie ciężki odór butwiejącej roślinności, zapewne minęliby czarną plamę moczarów. Smród gnijących drzew ormowych oraz nawoływania ropuszków potwierdzały, że zbliżali się do celu. Śmiertelnie niebezpieczne bagno zamieszkiwane przez aligatory i trzyrożce było porośnięte trującymi lastrucjami, których całe skupiska piętrzyły się wokół wypełnionych szlamem połaci. Poza Oddanymi, którzy komunikowali się z Jednią, nikt o zdrowych zmysłach nie przelatywał nad cuchnącym terenem, a już zwłaszcza tu nie lądował.

Leba się zawahał. Rozwahał, czy nie zmienić planu i nie polecieć prosto do drzewa, po namyśle jednak zrezygnował. Wibranty usłyszą trzepot skrzydeł i dopadną go tuż po tym, jak postawi stopę na

ziemi. Będą musieli wylądować na granicy bagna i skradać się, by ominąć te cholerstwa.

Wielkie jak dwie dłonie pająki zwane wibrantami już u zarania dziejów upodobały sobie rolę strażników Jedni. Nikt nie był pewien, czy chroniły ją, czy drzewo. Starsi mieszkańcy twierdzili, że stworzenia słuchają tej, która zwie się ręką bogów, lecz Leba nie znał nikogo, kto mógł widzieć to na własne oczy. Okazji do spotkania z Jednią też było niewiele: symboliczne odcięcie kosmyka włosów po osiągnięciu pełnoletniości oraz śmierć, przy czym ta nie dawała możliwości zaobserwowania czegokolwiek. Wyłącznie Oddani mieli kontakt z Jednią. To oni przekazywali rozkazy i dostarczali wiadomości z zewnątrz. Leba uznał, że paskudne stworzenia muszą być jej posłuszne. Jak inaczej Oddani mogliby docierać do drzewa bez ukąszenia?

Nazwa włochatych stworzeń wzięła się od umiejętności wykrywania najmniejszych wibracji: odgłosu stóp, trzepotu skrzydeł, każdego fałszywego dźwięku w nieprzerwanej symfonii matki natury. Jakby tego było mało, dwa zakrzywione kolce na odwłoku skrywały niebezpieczny jad. Leba pamiętał dzień, w którym bezmyślny Yu i jego poplecznicy złapali w sieć jedno ze stworzeń. Głupi pomysł nieomal skończył się tragicznie. Ukąszony Naseth doszedł do siebie dopiero po dwóch dniach paraliżu, a przez kolejne trzy nie mógł nic przełknąć. Całe szczęście, że złapany okaz był młody. Kto wie, jakie konsekwencje czekałyby Parkanina po spotkaniu z dorosłym wibrantem. Pechowiec wyrósł na zdrowego chłopaka, choć uwadze Parkan nie uszedł fakt, że niewiele mówi i zapomina ważne wydarzenia. Niejeden mieszkaniec twierdzi, że to nic innego jak efekt ukąszenia sprzed trzech lat. Leba nie wiedział, co o tym sądzić.

Obniżył lot i wpatrywał się w gęstniejące opary. Wylądowali na granicy bagniska, tuż obok spowitego ciemnością ostatniego żywego drzewa. Leba słyszał przyspieszony oddech Eona. Zastanawiał się,

jak dodać mu otuchy. W ich duecie to on wychodził przed szereg, podsuwał niestandardowe rozwiązania, improwizował. Sceptyczny głos towarzysza chłodził najbardziej szalone idee i cofał o parę kroków doskonale plany. Tym razem jednak najlepszy przyjaciel zaakceptował pomysł i pomimo ogromnego strachu zgodził się przylecieć.

Kucnęli i wpatrzyli się w mrok. A więc to prawda! Przysmakiem wibrantów były muszniaki, które zajaśniały się świecącymi owocami limbarji. W rezultacie wśród siwych wyziewów unoszących się nad bagniskiem dostrzegli rdzawe łuny jarzących się stworzeń.

– A co z tymi, które ostatnio nie jadły? – wyszeptał Eon.

– Będą mniej widoczne. Musimy mieć oczy dookoła głowy. Ja ruszę tędy, ty odczekasz chwilę i pójdziesz tam. – Leba wskazał dłońmi mniej wodnisty teren. Spojrzał w oczy przyjaciela. – Będziemy się cały czas widzieć. Jeśli mnie usłyszysz...

Eon westchnął.

– Lecę w górę i robię hałas. Wiem. Pamiętam.

Unieśli po jednym skrzydle, by dodać sobie otuchy, wyrównali oddechy i spojrzeli w stronę czerni bagniska rozświetlanej raz po raz drobnymi punktami światła.

– Już czas!

* * *

Sunął powoli, zanurzony po pierś w gęstej brei pokrytej zielonym kożuchem. Po chwili dostrzegł, jak Eon rusza ścieżką. Przyjaciel szedł wyprostowany i czujny. Uzgodnili, że czołganie się i chowanie za krzakami spowoduje więcej hałasu. Umówili się na ostrożne stawianie kroków i przerwy.

Zimny szlam oblepiał pióra Leby, brudząc ciało porowatą galareta. Każdy krok uwalniał bąble, które pękały i roztaczały dławiący smród. Chociaż omijał zmurszałe pniaki podobne do wystających

zębów, co rusz trącał dłońmi ukryte pod powierzchnią obslizgłe korzenie. Te otaczały go, dotykały, jakby cieszyły się z odwiedzin. Raz nawet miał wrażenie, że o jego rękę otarło się zwierzę. Zniechęcony. Na szczęście okazało się wymiętoszonym przez szlam szkieletem wiewiórki.

Po jakimś czasie dostrzegł cel wędrówki – kontury wielkiego drzewa. Krok. Drugi. Trzeci. Sunął cicho jak duch. Wiedział, że wibranty preferują ścieżki i stronią od mokrych powierzchni.

Zamarł. W zwałonym drzewie obok dostrzegł norę, w której coś się poruszyło. Zaciągnął się bagiennymi oparami, lecz wyczuł jedynie słony zapach namorzynów oraz intensywną woń piżma.

Piżma?

Przełknął ślinę. Ponownie złowił wzrokiem nieznaczny ruch. Wstrzymał oddech i poszukał ślepi. Nieważne, co siedziało w środku – ważne, czy go dostrzegło. Ruch się nie powtórzył, więc wykonał krok, a potem drugi. Cisza. Ruszył dalej, wciąż wpatrując się w norę. Kątem oka ujrzał światło wibranta na ścieżce. Pająk był blisko.

Słyszał mnie?

Po okolicy poniosł się trzepot skrzydeł wielkiego ptaszyska. Wibrant ruszył w kierunku Leby, a ten wolno zanurzył się po szyję. Po chwili dostrzegł drugą czerwoną łunę. Kolejny pająk nadciągał ścieżką z tyłu. Kiedy stworzenia podeszły bliżej, Leba zamarł. Chciał się zamienić w martwą, obslizgłą bryłę, której czubek wystaje znad powierzchni. Dostrzegł szorstkie włoski na odnóżach, pękate brzuchy pulsujące czerwoną poświatą, szpiczaste kolce jadowe. Jedno ze stworzeń wychyliło się na kosmatych odnóżach i dotknęło skorupy bagna. Leba dostrzegł trzy pary błyszczących oczu i ociekające śluzem szczypce. Choć wiedział, że to niemożliwe, był pewien, że pająk mu się przygląda.

Czując, jak wychłodzone nogi drętwieją i zaczynają mrowić, Parkanin starał się nie drgnąć. Wibranty poruszyły się w tym samym

momencie. Na bogów! Było ich sześć. Pozostałe cztery, których nie zauważył, wtopiły się w mrok. Poszły dalej ścieżką. Za nimi sunęły dwa jaśniejsze.

Leba usłyszał odgłos kroków. Ciche młaśnięcie stopy. Przerwa. Kolejny odgłos. Powoli odwrócił głowę. Ujrzał Eona, który stał pochylony przy niewielkim kamieniu i się rozglądał. Wibranty były coraz bliżej niego. Te jaśniejsze zatrzymały się, ciemne wciąż pędziły w stronę intruza.

Eon! Leć! – krzyknął w myślach Leba.

Wydawało się, że przyjaciel dostrzegł czerwone punkty, bo zastygł z rozłożonymi rękami. Stał pośrodku moczarów niczym niechciany pomnik. Najbliższe pająki dzieliło od niego parę kroków. Nie widział ich! Nie mógł ich widzieć!

Leć!

Leba zbliżył się do ścieżki, podniósł na rękach i wyczołgał z bagna. Chciał krzyknąć, lecz dźwięk ugrzął mu w krtani. I wtedy zobaczył, jak wspinają się po nogach Eona. Ten kopnął niewidoczno wroga, rozchylił skrzydła i odbił się od podłoża, lecz ciałem Parkanina wstrząsnął nagły skurcz. Zamiast polecieć, poturlał się i upadł na brzuch. Znieruchomiał.

Święty Solarze!

Leba chciał ruszyć z pomocą. Wiedział jednak, że skończy podobnie. Odwrócił się w kierunku drzewa. Wykonał krok, potem drugi. Najpierw powoli, ujrawszy jednak, że większość czerwonych punktów zmierza w stronę Eona, przyspieszył.

Pomóżcie mu, bogowie. Oby skończyło się tylko na paraliżu.

Kiedy dostrzegł rzekę, która rozwidłała się i opływała polanę z prastarym drzewem, zaczął biec. Skąpane w mroku kontury drzewa stawały się coraz wyraźniejsze. Leba stracił równowagę i upadł, lecz błyskawicznie wstał. Skoczył, gdy wydawało mu się, że widzi czerwoną poświatę. Na szczęście wyglądała jak zwykła odlupana

kora. Kora lub skorupa martwego żółwia. Przyspieszył. Usłyszał szum rzeki, tak blisko. Jeszcze chwila. Skok. Wartki nurt lodowatej wody rzucił nim jak marionetką. Spiał mięśnie i dopłynął do brzegu polany. Wygramolił się na suchą trawę i spojrzał w kierunku Eona. Ścieżkę, którą tu przybiegł, pożerała ciemność. Nie dostrzegł nic prócz potarganych ruchem wyziewów, które kłębiły się niespokojnie.

* * *

Drzewo wyglądało dokładnie jak na rycinach w księgach wiary. Dziesiątki gałęzi wyrastało z pnia szerokości domu, płacząc się i mieszając niczym rozczochrane wiatrem włosy potwora. Wszechobecne korzenie wiły się po ziemi, tworząc nieruchome fale węzłów pochłaniających polanę. Dziurawiły darń niczym nóż przebijający wierzch spieczonego ciasta. Wiatr smagał gałęzie, trącąc przymocowane do ich końców kamienie Den.

Leba ujrzał ją wśród korzeni. Nie miał wątpliwości, że była to Jednia. Głowa kobiety zwisała na wygiętym karku. Rozchylone, napięte skrzydła były oplecione korzeniami i konarami. Pokryte ziemią pióra lepiły się od żywicy, tworząc porośnięty mchem roślinny twór. Bezwładne stopy nie dosięgały gruntu. Wisała podtrzymywana pnączami przebijającymi skórę i wdzierającymi się pomiędzy żyły nabrzmiałych rąk i nóg.

Dopiero teraz usłyszał stłumiony, jednostajny szum, który musiał być jej oddechem. Gałęzie odginały się i pochylały, jakby chciały gościa objąć, przytulić. Zrobił krok do tyłu. Jednia wyglądała na pogrążoną we śnie.

Przyjrzał się kamieniom Den. Setki odłamków dyndało na końcach konarów, stukając o siebie i kołysząc się na wietrze. Po zaślubinach kamienie wybrańców trafiały właśnie tu, gdzie spragnione krwi gałęzie wciskały się w wydrążony otwór odłamka.

Któryś z nich należy do Niaka – pomyślał.

Skrzypnęło, jak gdyby napięte gałęzie pękały, lecz tylko się przesunęły, gdy Jednia uniosła głowę. Białka oczu istoty zaślniły w ciemności, a szelest oddechu ucichł.

– Kim jesteś? – spytała zmęczonym głosem.

– Mam na imię Leba.

Twarz wiszącej stężała. Pod warstwą kory i napęczniałymi policzkami dostrzegł podobieństwo do parkańskiej kobiety. Cekał, lecz prócz oddechu drzewa i nawoływań ropuszaków otaczała go cisza. Pokryte mchem usta się poruszyły.

– Jesteś tym, który od trzech lat prosi o wcześniejsze zaślubiny.

A więc powiedzieli jej o mnie – pomyślał.

Wiele razy złościł się na Uległych, zżymał na tajemnice, które nieustannie skrywali w księgach, kpił z dawkowania wiedzy na lekcjach wiary. Był przekonany, że ignorują jego prośby, a jednak wyglądało na to, że przekazywali je tej, która za każdym razem odmawiała.

Pochylił głowę, próbując uspokoić rozkołatane serce.

– Obok dużej przepaści pojawiła się czarna anomalia. Ujrzałem w niej istotę bez skrzydeł.

Jednia poruszyła się i wykrzywiła usta.

– Z którym zhańbionym rozmawiałeś?

– Nie mam z nimi kontaktu. Nikt nie ma.

– Bzdura! Pomimo zakazu zdarza się, że po powrocie powiedzą to i owo, zanim zostaną odizolowani.

– Czyż ryzykowałbym podróż na moczary, by cię okłamywać?

Podciągnęła się na skrzydłach, wciąż wisząc na setkach trawiających ją gałęzi.

– Ta... istota w anomalii... Poczułeś coś wtedy? – odezwiała się niepewnie.

– Bliskość. Bardzo chciałem to coś poznać – odparł bez namysłu.

– Kto wie... – wymamrotała i wzniosła oczy ku niebu.

Przez chwilę myślał, że zasypia, lecz przymknięte powieki się otworzyły, a usta złapały haust powietrza. Spojrzała na niego łagodniej.

– Kilka dni temu stało się coś, czego nie rozumiem – powiedziała. – Jakby konstrukcja światów zachwiała się w posadach.

– Jeziora, zanikający dźwięk...

Skinęła głową.

– Może fakt, że widziałeś go już teraz, to znak. Kto wie, kto wie...

Chciał o coś spytać, lecz spojrzała na niego w taki sposób, że połknął niewypowiedziane słowo.

– Staniesz do zaślubin. Krew prawdę powie. – Słowa Jedni eksplodowały w głowie Leby.

– Mój przyjaciel! – Kłęknał. – Dopadły go wibranty! Musisz mu pomóc. Słyszysz?

Krzyczał, lecz Jednia nie reagowała. Głowa istoty opadła z chrzęstem, a skrzydła zwiotczały. Kiedy odlatywał, oddech kołysał nią w korzeniach drzewa, które skurczyło się pod ciężarem myśli wiszącej.

Rozdział 4

Kto jest kim?

Estepia

Krępy ochroniarz Karczmy pod Tłustym Sumem przepchnął grupę gapiów i odciągnął górnika, który ścisnął sine gardło Brena. Początkowo to właśnie rudowłosy został uznany za głównego podejrzanego, lecz nie znaleziono narzędzia zbrodni, dlatego przyjęto, że mordercą może być ktokolwiek. Poza gronem podejrzanych została jedynie obsługa gospody.

W karczmie zagościły strach i nieufność. Właścicielka zażądała, by każdy oddał broń, co spotkało się z gwałtownym protestem większości. Ochroniarz uniósł długi miecz na wysokość biodra i zwrócił sztychem w kierunku zebranych. Zawziętość w oczach uzbrojonego niemowy zwiastowała krwawą potyczkę, na którą nikt nie miał ochoty. Ostatecznie goście ustąpili, a po sprawdzeniu okazało się, że żadna z broni nie mogła zadać nietypowej rany. Karczmarka zamknęła zebrany oręż w piwniczce, tłumacząc się względami bezpieczeństwa.

Kiedy goście ruszyli do sali jadalnej, ochroniarz i brat ofiary wytargali ciało na zewnątrz. Po powrocie górnik obserwował wszystkich i szczerzył groźnie zęby, jakby liczył, że morderca sam się przyzna.

Barmanka uciekła na górę i zabarykadowała drzwi swojego pokoju, Triod zaś chodził i obsesyjnie zaglądał we wszystkie kąty przybytku.

Czego on wciąż szuka? – zastanawiał się Bren. *Czyżby narzędzia zbrodni? W takim razie dlaczego zostawił je na moim sienniku?*

Dalsza część dnia upływała nerwowo. Goście omijali się wzajemnie szerokim łukiem, a dotychczasowy gwar zastąpiła cisza wypełniona pytaniami: co dalej? Noc w karczmie zwiększała ryzyko stania się kolejną ofiarą, a opuszczenie przybytku gwarantowało rychłą śmierć.

Fatalnej atmosfery nie poprawiło przybycie najemniczki i jej niskiego pomocnika. Karzeł umościł sobie posłanie w stajni, zajmując ostatnie, oczyszczone z krwi miejsce obok Brena. Kobieta natomiast sypnęła złotem i zażądała noclegu w pokoju na górze. Zgodnie z zapowiedzią właścicielka podniosła opłatę za pobyt w pokojach, co wywołało falę siarczystych przekleństw.

Triod rozpoczął negocjacje, lecz po chwili machnął ręką i wyciągnął z sakiewki odliczoną kwotę. Myśliwy spojrzał na karczmarkę, a ta skinęła głową i go pominęła.

Ciekawe, dlaczego nie płaci – zastanawiał się Bren, stojąc w drzwiach izby.

– Precz z łapami! – usłyszeli krzyk starca. – Nie mam tyle!

Ochroniarz ścisnął wrzeszczącego i włókł niczym ciężkie kowadło.

– Nie ma złota, nie ma noclegu – sapała Hinda, idąc do drzwi wyjściowych.

– Muszę tu zostać – błagał starzec. – Skazujesz mnie na śmierć, suko!

Ochroniarz kierował się prosto do celu, unikając ciosów starucha. Zza uchylonych drzwi sypnęło śniegiem, temperatura w korytarzu błyskawicznie spadła. Mężczyzna cisnął starca na zewnątrz niczym worek mąki, po czym zamknął za nim i odwrócił się

w stronę zaafetowanych gości. Najwyraźniej chciał coś powiedzieć, lecz mlasnął tylko kikutem języka i przekręcił klucz w zamku.

* * *

Podczas kolacji wszyscy musieli zapłacić za kolejną dobę, przez co Bren został bez pieniędzy.

– Wiem, kim jesteś – wyszeptał Triod, dosiadając się do najemniczki.

Jaka będzie tym razem strategia podrywu? – zastanawiał się Bren, nadstawiając uszu. Pewnie nieznajoma podobała się młodzianowi, a ten miał w zanadrzu kolejny głupi tekst o tym, że dziewczyna jest przeznaczeniem, które powinien spotkać w swoim pokoju.

Czy coś w tym stylu – pomyślał i opróżnił drugi kielich wina.

– Jestem ciekaw, czy ryby oddychają pod warstwą lodu.

Nieznajoma zmarszczyła czoło, obserwując go z pytaniem w oczach.

– A z początku wyglądałeś na normalnego – skwitowała.

Triod wstał bez słowa i odszedł, szorując dłonią po zakurzonej desce.

Czy ryby oddychają pod lodem?

Bren obserwował wiszący na ścianie obraz.

Mnie pytał o to samo, dziwne. Może ten chłopak ma naprawdę nie-równo pod sufitem? I czego wciąż szuka we wszystkich pomieszczeniach?

Wieczorem do karczmy zawitał kolejny gość. Półelfka o twarzy pokrytej tatuażami bez słowa wręczyła karczmarce sakiewkę i poszła się ogrzać przy palenisku. Gospodyni ponownie podniosła ceny noclegów na piętrze, zbierając dopłaty od wszystkich poza myślącym. Ostatnim, do którego podeszła, był Triod. Chłopak westchnął, pokręcił głową, spakował niewielki dobytek, wsiadł na konia i pogalopował traktem w śnieżną burzę.

Noc nadeszła szybko i niespodziewanie, szturchając podmuchami wiatru chwiejny budynek stajni. Bren leżał zawinięty w koc, pod którym ukrył drewnianą belkę końskiego boksu. Nie myślał o spaniu. Był pewien, że górnik poszuka zemsty. Wiedział też, że sam stanowi oczywisty cel.

* * *

Czas do rana upłynął zaskakująco spokojnie. Bren oraz górnik nie zmrużyli oka. Obserwowali się nawzajem. Brodacze siedział oparty plecami o ścianę stajni i wyczekiwał potencjalnego ataku, rudowłose zaś przeżył mięśnie i szczyrzył groźnie zęby, choć w głębi duszy wiedział, że nie umie walczyć. Jedynie karzeł spał spokojnie, nieświadomy zajść z poprzedniej nocy.

Ranek przyniósł lepszą pogodę. Opady śniegu zelżały, a promienie słońca zaczęły się przedzierać nieśmiało przez burzowe chmury. Najemniczka oraz karzeł zjedli śniadanie, po czym zdecydowali się opuścić gospodę. Niestety, kilka godzin po ich wyjeździe na zewnątrz znów rozpętało się piekło. Wichur świszczał w kominie, podrzucając drobinki żaru paleniska, grad bębnił w deski osłaniające okna, a w budynku zrobiło się zauważalnie chłodniej.

Po południu właścicielka otworzyła stajnię, by wprowadzić nowego gościa z dwoma objuczonymi końmi.

– Tu będzie spał, a tam będzie jadł. Przyjdzie zara na obiad. – To powiedziawszy, odeszła wraz z górnikiem.

Nieznajomy zdjął kaptur i strzepnął przyklejony do płaszcza śnieg. Po chwili oczyścił resztę odzienia, zanosząc się suchym kaszlem.

– Śnieżycy nie ustaje? – zagaił Bren, rozmasowując skostniałe nogi.

– Bynajmniej – wycodził przez zęby przybyły. Zdjął juki, zaniósł je na posłanie, a następnie rozłożył na sianie mokry płaszcz i buty.

– Z daleka jedziecie? – spytał Bren, podając mu jabłko, które wyturlało się z sakwy mężczyzny.

– Z daleka – odparł i przyjął owoc.

Szpiczasty nos drgał w trakcie obierania jabłka, a zarośnięta twarz sugerowała, że obcy dawno nie przebywał w cywilizowanych warunkach.

Zaległa cisza. Bren rozmyślał o wszystkim, co dotąd widział i słyszał.

Morderstwo górnika, wyrzucony na pewną śmierć starzec i ten chłopak... Jak on miał na imię? Triod. Ciekawe, czy jeszcze żyje.

Zaimponowały mu spokój i pokora, z jakimi opuścił karczmę. Bez awantur, burd i przepychanek.

Być może znalazł to, czego szukał. A może właśnie mu się nie udało?

Przełknął ślinę, czując, że intuicja popycha go w dziwną stronę. Dobrze znał to uczucie.

– Jestem ciekaw, czy ryby oddychają pod warstwą lodu – wypalił głośno.

Obcy wytarł nóż w podróżną chustę, schował do sakwy i odparł:

– Warto zrobić w lodzie trzy dziury ostrym narzędziem. Masz może takie?

Chłopak poczuł dudnienie w skroniach. Serce waliło niczym oszalałe. Wstał i przeciągnął się jakby od niechcenia. Robił wszystko, by opanować drżenie żuchwy, która w takich chwilach podskakiwała mu mimowolnie. Spokojnym krokiem ruszył w stronę korytarza. Podskoczył, sięgnął belki stropowej i chwycił ostrze. Wytarł zakrzepłą już krew o wewnętrzną część koszuli, po czym z duszą na ramieniu wrócił do nieznanego.

Mężczyzna obejrzał przedmiot, po czym spojrzał na Brena.

– Jestem Okiennikiem – powiedział, wyciągając dłoń. – Znasz hasło, więc ciebie szukam. Masz symbol, czyli pokonałeś innych. Dobra robota. Ruszamy, gdy tylko ustanie zamieć. – To powiedziawszy, poszedł do głównej izby.